

JEDEN CZŁOWIEK, OD KTÓREGO ZALEŻY
PRZYSZŁOŚĆ RZYMU - I ŚWIATA

WOJCIECH DUTKA
KARTAGIŃSKIE
OSTRZE



Pamięci Andrzeja Kuryłowicza

PROLOG

Świat się zmienił. Rzym przyniósł nam nową postać świata, w którym nie ma ucieczki przed biczem i mieczem. Kartagina jest oblężona przez Rzymian od prawie trzech lat. Myślę, że miasto padnie. Wcześniej podobny los spotkał Macedonię, która tak głęboko upokorzyła nas, Hellenów. Potem upadła też Syria rządzona przez boskich Seleucydów. Nie zdołał powstrzymać Rzymu król Mitrydates z Pontu. Nie zdołają tego uczynić macedońscy faraonowie Egiptu. Nie zdołał się przeciwstawić Rzymowi człowiek, którego poznałem i do którego śmierci się przyczyniłem, Hannibal Barkas.

Rzym ma moc zmieniania historii, gdyż dzieje Hannibala i Kartaginy będzie można poznać tylko z woli Rzymu. Mam się do tego przysłużyć moim piórem. Tak jak przez lata podnosiłem rękę na Rzym, teraz stałem się jego akolitą. Postanowiłem pisać o Rzymie oraz o tych wszystkich latach, kiedy walczyłem przeciw niemu. Tylko w ten sposób uwolnię się od nienawiści, która żerała mnie przez cały ten czas. Zrozumiałem, że z Rzymem nie można walczyć. Trzeba go pokochać takim, jaki jest. A jest lubieżny i okrutny. Mimo to pozostaje jedynym państwem, które potrafi utrzymać porządek.

Zdradzałem i byłem zdradzany, poznałem smak niewoli i radości bycia wolnym. Los przynosił mi zwycięstwa i straszliwe klęski, a w moim życiu było tyleż szczęścia, ile rozpacz, tyleż radosnych chwil, ile gorzkich momentów upokorzenia. Spoglądałem w twarz świętym mężom, szukając prawdy, jednak widziałem też w oczach opętanych bachantek złośliwy uśmiech mrocznego boga Dionizosa. Doświadczyłem w życiu wszystkiego i wyznaję to szczerze, wiedząc, że każdy dzień przybliża mnie do tego, co nieuniknione.

Chciałbym zanurzyć się w chłodnym strumieniu śmierci, ponieważ tak jak kropla wpada do morza i znika, ja też odejdę w mrok czasu, a pozostanie tylko Rzym, Wieczne Miasto, po kres świata.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

TARG NIEWOLNIKÓW

Tarent był kolonią grecką, założoną jeszcze przez Spartan. Miasto miało bardzo piękny port, gdzie codziennie zawijały liczne statki. Można było tam usłyszeć wszystkie języki, którymi mówiono w basenie Morza Śródziemnego. W domu kupieckim należącym do Hiperbolosa, znanego w mieście Greka, milionera, aferzysty, ale człowieka niepozbawionego osobliwego poczucia humoru, od wczesnego rana panowała żywa krzątanina. Pan postanowił kupić nowego niewolnika. Cała familia* prześcigała się w domysłach, kogo raczy kupić. Koryntyjczyk często wybierał się na targ niewolników, bo Tarent miał jedną niezaprzeczalną atrakcję, która wynosiła to miasto ponad przeciętność portowych mieścin, pełnych tanich dziwek, szumowin i marynarzy gotowych zaciągnąć się na każdy statek. Ową atrakcją był właśnie targ niewolników. Rzymianie nazywali go *anus mari* – odbytnica morza. Ta szokująca nazwa wiązała się z faktem, że po dniu targowym leżały w klatkach zwłoki niewolników, których nikt nie chciał kupić. Byli to zazwyczaj

* Objasnienia niektórych pojęć dotyczących świata starożytnego znajdują się na końcu książki.

starzy ludzie lub matki z niemowlętami, zmarli w wyniku upału i braku wody. Ich umęczone ciała zwożono do bestiarium należącego do szkoły gladiatorskiej. Hodowano tam lwy, które karmiono ludzkim mięsem. Trupy niewolników nic przecież nie kosztowały. Człowiek liczył się mniej niż życie tych bestii.

Słudzy zanieśli kupca do miasta w wygodnej i niezwykle lekkiej lektyce z drzewa lipowego. Trzeba dodać, że w mniemaniu Hiperbolosa, Greka urodzonego w Wielkiej Grecji, a więc dawnych koloniach greckich na wybrzeżu włoskim, wszyscy obcy, łącznie z panami tej części świata, Rzymianami, zasługiwali na miano barbarzyńców. Hiperbolos miał duże poczucie wyższości. Był najbogatszym człowiekiem w mieście i czuł się wspaniale za każdym razem, gdy silni scytyjscy niewolnicy niesli go wśród różnokolorowej gawiedzi, a on, szczęśliwy, rozdawał pozdrowienia na lewo i prawo.

Gdy przed oczyma Hiperbolosa zarysował się w oddali targ niewolników, położony na małym wzgórzu, Grek dał znak ręką, by zatrzymano lektykę. Wyskoczył z niej równie zgrabnie, jak kilkutygodniowy koziołek skacze po zielonym pastwisku.

Znad morza dęła bryza, przez co zapach portu rybnego i ulic pełnych nieczystości niósł się na okalające miasto wzgórza. Ten odór irytował kupca.

– Co za smród – wycodził Hiperbolos. – Rzymianie ponoć są panami Italii, a w całym porcie czuć smród gówna.

– Tak, panie – przyznał sługa, silny, barczysty mężczyzna o wschodnich rysach twarzy.

– Salef – zwrócił się do niego Hiperbolos – idziesz ze mną. Masz przy sobie pieniądze?

– Jak kazałeś, panie. To osiem tysięcy sestercji i trzy tysiące fenickich szekli.

– Dobrze. Idziemy.

Salef, wielki Syryjczyk, uwielbiał przypochlebiać się swemu panu, a czynił to w jedyny znany sobie sposób – rozdając wokół silne uderzenia pięścią. Zwyczaj ten był znany przekupniom na targu, toteż szybko rozległy się powitania. Zarówno gromkie, pełne peanów na cześć wielkiego bogacza, jak i te odrobinę mniej głośnie, ale i mniej entuzjastyczne, kryjące zazdrość i niechęć pod powłoką służalczości. Pozdrawiano bogacza w imię Asklepiosa i Serapisa, w imię Hery i innych bogów z całego świata śródziemnomorskiego. Ignorując pochlebców, Hiperbolos zmierzał w stronę targu piękności. Nazywano tak tę część targu niewolników, gdzie piraci sprzedawali swoje najnowsze zdobycze: uprowadzone z wybrzeży Grecji młode, ładne dziewczyny i kilkunastoletnich młodzieńców, którzy stanowili najbardziej luksusowy towar. Gdy tylko Hiperbolos znalazł się na miejscu, natychmiast obskoczyli go handlarze, starając się zareklamować swój towar.

Hiperbolos przystanął. Nie lubił tłoku, ale jak każdy Grek lubił piękno. Na niewolników spoglądał okiem wybrednego znawcy, co nie uszło uwadze handlarzy, którzy do mistrzostwa opanowali sztukę zwodzenia. Wśród niewolników przeważali młodzi mężczyźni w wieku dwudziestu kilku lat, dobry dla starych matron lub znudzonych życiem wdów. Jednak Hiperbolos, wiedziony instynktem, spojrzał w stronę młodego chłopca, który siedział w klatce kilka metrów dalej. Stary Koryntyjczyk lubił harmonijne twarze o czarnych oczach, subtelnych ustach i bezbrzeżnym niemal smutku. Jego niewolnicy musieli być piękni. Uznał, że właśnie ten, a nie inny stanie się nowym nabytkiem jego rodziny. Skinął ręką na fenickiego handlarza, który natychmiast podszedł do Greka, składając mu głęboki ukłon, co świadczyło o rozwadze, ale i chytrłości. Handlarze niewolników mają jedną wspólną cechę,

niezależnie od miejsca, gdzie uprawiają swój proceder. Ich pokora ma wymiar tragicznej maski, pod którą kryje się podstęp i bezwzględna chęć zarobku.

– Niech prowadzą cię wielkie bóstwa: Izyda, Mitra i Serapis!
– rzekł handlarz, zbliżając się do Greka.

– A także Hermes, pan złodziei i kanalii, którzy sprzedają piękno, nic o nim nie wiedząc – odpowiedział Hiperbolos, który lubił zawsze sprawdzać, czy jego rozmówca jest na odpowiednim poziomie.

Handlarz stanął na wysokości zadania, w lot pojmując intencje klienta.

– Panie, gdyby tylko Hermes był w stanie ocenić, kto jest kanalią, a kto lubieżnym rozpustnikiem, pewnie zyskałbym nieco w twojej ocenie – odparł błyskotliwie, kłaniając się jeszcze niżej.

Obydwaj się zaśmiali. „Kupisz u mnie”, pomyślał handlarz. „Jesteś najohydniejszą bestią na tym targu”, pomyślał Hiperbolos.

– Co to za jeden? – zapytał Grek, wskazując na młodego chłopca w szarym chitonie. Siedział osowiały w klatce, nie zważając na otoczenie.

Handlarz zmrużył oczy, patrząc pod słońce. Poznał go. Młody Grek, który podobno umiał pisać. Piękne, gibkie ciało. Co najmniej pięć tysięcy sestercji. Na tyle go ocenił.

– Panie, uwierz, że przyszedłeś do właściwego człowieka, bo jak mi wszyscy bogowie świadkami, nie ma na tym targu piękniejszego chłopca! – zaskrzeczał.

Obaj zbliżyli się do chłopaka, który siedział oparty o kratę. Niewolnik był wyraźnie zmęczony podróżą i warunkami panującymi na targu.

– Wstawać! – wrzasnął handlarz.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca. Hiperbolos potrafił znakomicie wyczuć, w jaki sposób najlepiej sprawdzić towar.

– Nie krzycz na niego... – rzekł do handlarza. – Jak ci na imię? – zwrócił się łagodnie do chłopaka w dialekcie attyckim, najbardziej klasycznym pośród wszystkich greckich dialektów.

– Panie, czy to ważne, jak ma na imię? – zawołał handlarz. – Popatrz na jego skórę! Za taką skórę nie mogę wziąć mniej niż pięć tysięcy sestercji i chociaż jest tutaj wielu pięknych chłopców, żaden mu nie dorówna.

Jedyną odpowiedzią Hiperbolosa było spojrzenie pełne niewysłowionej pogardy, które zatrzymał przez chwilę na twarzy handlarza.

– Jak masz na imię? – zapytał ponownie chłopca. – Skąd jesteś?

– Mam na imię Polibiusz, a urodziłem się w Megalopolis – odrzekł nieśmiało niewolnik.

Zrozumiał, że oto nadarza mu się okazja, by wyrwać się z tego przeklętego targu, nawet za cenę oddania własnego ciała dla uciechy starszego mężczyzny. Hiperbolos zaś uradował się, że chłopak, tak jak on, pochodzi z Hellady, choć uważał ludzi z Megalopolis za dumnych, zarozumiałych i zادیornych. To nie wróżyło dobrze zakupowi, ale chłopiec był urodziwy. Byłby kolejnym ładnym mówiącym przedmiotem w ludzkiej kolekcji niewolników Hiperbolosa. Rzymianie nazywali niewolnika *instrumentum vocale*, czyli... rzeczą, która potrafi mówić.

– Co umiesz? – zapytał Hiperbolos.

– Czytać i pisać – odpowiedział chłopak.

– Ile masz lat?

– Piętnaście.

– To niezwykle, że potrafisz czytać i pisać. Kto cię tego nauczył?

– Ojciec. Jest... był – poprawił się niewolnik – strategiem Związku Achajskiego.

– Jak arystokrata trafił na taki targ?

– Nie miałem wyboru. Piraci nie pytają o zgodę, gdy kogoś porywają.

– Znasz *Iliadę*? – spytał Hiperbolos, którego zachwyciło pochodzenie niewolnika: piękny chłopiec z arystokratycznego domu.

Polibiusz spojrzał swemu potencjalnemu właścicielowi w oczy. Pytanie o wielki poemat Homera, jakżeż absurdalne w tym miejscu, sprawiło, że raz jeszcze przypomniał sobie rodzinny dom, rodziców, gimnazjon, do którego chodził. I wolność, którą utracił. Serce wezbrało mu goryczą, ale się opanował. Zdusił ją w sobie. I zaczął recytować:

*Gniew, Bogini, opiewaj Achilla, syna Peleusa,
zgubę niosący i klęski nieprzeliczone Achajom,
co do Hadesu tak wiele dusz bohaterów potężnych
strącił, a ciała ich wydał na pastwę sępom drapieżnym
oraz psom głodnym. Tak Dzeusa dokonywała się wola.
Zwłaszcza od dnia, gdy w niezgodzie przeciwko sobie stanęli
władca narodów Atryda i bogom równy Achilles*.*

Hiperbolos skrzywił się z udawanym niesmakiem, choć w istocie piękno jońskiego akcentu w ustach tego młodego człowieka chwyciło go za serce. Targ niewolników to jednak teatr okrucieństwa. I Hiperbolos postanowił zagrać swoją rolę do końca. Nie lubił tragedii, ale komediodramat to co innego. Odwrócił się, jakby sugerując, że tak naprawdę wcale nie jest

* *Iliada*, Pieśń I, tłum. Kazimiera Jeżewska, Warszawa 1999.

zainteresowany kupnem, co oznaczałoby niechybną chłostę dla chłopca. Ale Hiperbolos wiedział, co robi. Gdy tylko dał znak, aby przyniesiono jego lektykę, handlarz natychmiast wkroczył do akcji, wijąc się jak piskorz złapany w sieć. Krążył wokół lektyki kupca niczym głodny, skamlący pies i tym samym już stało się oczywiste, że przegra pojedynek o cenę niewolnika.

– Panie, nie zważaj na bezczelny język tego smarkacza! Nie znam się na poezji, ale na pewno ten smarkacz źle coś zacytował. Bogowie widzą, że moja oferta jest uczciwa i że nie mam zamiaru cię oszukać, co niechybnie zrobiłby każdy inny handlarz na tym targu!

– Nie interesuje mnie to – odburknął Hiperbolos.

– Panie, zarówno ty, jak i ja jesteśmy ludźmi, którzy nade wszystko cenią sobie rozsługę w interesach! Cztery tysiące pięćset sestercji i biorę wszystkich bogów na świadków, że więcej już nie mogę, jak Zeusa kocham, nie mogę spuścić z ceny!

Ale Hiperbolos był bezwzględny. Znakomicie odgrywał swoją rolę obojętnego znawcy niewolników. Dzięki niej miał wyrwać tego dnia z rąk tej pirackiej bestii niezwyklej diament, chłopca recytującego *Iliadę* z tak wielkim uczuciem i miłością, że stary Koryntyjczyk szczerze się wzruszył, choć niewiele rzeczy w życiu naprawdę go wzruszało.

– Masz rację, cenię sobie rozsługę w interesach, dlatego nie dam ci więcej niż dwa tysiące pięćset sestercji – oznajmił Hiperbolos.

– Panie... to połowa wartości tego szczeniaka! – zaprotestował handlarz. – Jest inteligentny, pisze i czyta. O bogowie, trzy tysiące sześćset!!! Nie mogę taniej! – krzyknął, wznosząc ręce, jak czciciele Izydy i innych bóstw egipskich, na znak, że wzywa bogów na świadków.

– Dwa tysiące czterysta, bo mam dobry humor – wyszczał

Hiperbolos.

– Ty skąpy, podły, obrzydliwy Greku, to rozbój w biały dzień! – jęknął handlarz. – Nie sprzedam ci go taniej niż za trzy tysiące, i ani sestercji mniej! Izyska mi świadkiem, że mnie okradasz!

– Po starej znajomości dwa tysiące trzysta! – rzekł stanowczo Hiperbolos. – Nie dość, że kupczysz moim ziomkiem, bo sam pochodzę z Hellady, to sprzedajesz mi wycieńczonego chłopca, który tak naprawdę wytrzyma na tym targu nie dłużej niż dzień lub dwa. Już jutro zejdziesz do ceny tysiąca pięciuset, a pojutrze, gdy chłopak załamie się i będziesz na niego zły, że nie ubiłeś dziś ze mną wspaniałego interesu za dwa tysiące sto sestercji, oddasz tego chłopaka za sto pięćdziesiąt sestercji jako pokarm dla lwów w bestiariusz. Więc powiedz mi teraz, która oferta jest bardziej uczciwa, moja czy twoja?

Handlarz spuścił głowę. Wiedział, że przegrał.

– Dobrze, ty przekłety Greku, dwa tysiące sto sestercji...

Tego dnia Polibiusz znalazł się w domu Hiperbolosa.

Willa w Lacjum, w tym samym czasie

Kobieta tkła. Uwielbiała to zajęcie. Zawsze jednak czuła, kiedy stary grecki niewolnik przystawał obok framugi, przynosząc wiadomość.

– Czego chcesz, Posejdoniosie? – zapytała.

– Przybył twój syn, pani. Dostojny Marek Serwiusz Akwila czeka i prosi o rozmowę – rzekł Posejdonios.

Kobieta przerwała nawijanie wełny i zwróciła się do niewolnika:

– Posejdoniosie, wprowadź go do atrium i przynieś wina.

Zabrzmiało to bardziej jak prośba niż rozkaz, co pozwalałoby greckiemu niewolnikowi zadać jakieś pytanie. On jednak bez słowa skłonił się i wyszedł. „Nie widziałam syna od lat”, pomyślała kobieta. Wstała i poszła do atrium.

– Witaj, Marku, długo nie było cię w moim domu – odezwała się do atrakcyjnego trzydziestoparoletniego mężczyzny o krótko ostrzyżonych czarnych włosach i starannie ogolonej twarzy.

– I tym razem nie zabawię długo – odparł syn.

Zdawkowa odpowiedź nie spodobała się matce.

– Widzę przed sobą obcego człowieka – rzekła z irytacją w głosie.

– Dziwi cię to? – rzucił Marek, obmywając ręce w miednicy z wodą, podanej przez niewolnika. – Odszedłem z domu z własnej woli. Nie miałem zamiaru tutaj trwać i rozpamiętywać minionej świetności Etrusków. Chcę być Rzymianinem.

– Nie różnisz się od tej hołoty z Kapitolu. Czym Scypion cię kupił?

– Matko, proszę, zostaw politykę... Jestem zmęczony i czekam na długą podróż.

– Wiem, wiem, kobiety mówiące o polityce na równi z mężczyznami jakoś nie mieszczą się w rzymskim pojmowaniu świata, prawda? – zauważyła z ironią. – Ale ja, mój drogi Marku, nie jestem Rzymianką. – Postanowiła przejść na język etruski.

– Czy spożyjesz ze mną posiłek?

– Chętnie – odpowiedział po etrusku.

Patrzyła na swego syna, jak matka patrzy na dziecko, i poczuła, że teraz już nic nie będzie tak samo jak dawniej. Ale Marek zdawał się tego nie widzieć. Pozwolił dwu niewolnikom, by odpięli mu rzymski pancerz, po czym zdjął szkarłatny płaszcz legionowy i obmył twarz z potu i kurzu, tak jak kazał obyczaj, aby zasiąść czysty do wieczerzy. Kobiecie przemknęło przez

głową, że syn być może nie zechce zjeść z nią posiłku. Wprawdzie etruskie kobiety mogły spożywać z mężczyznami posiłki i ucztować z nimi na równych prawach, ale dla pruderyjnych Rzymian było to nie do przyjęcia. „Mój syn chce się skundlić po rzymsku”, pomyślała ze smutkiem.

– Marku, czy możesz mi zdradzić, co tak nagle sprowadziło cię w progi mego domu?

– Wiesz dobrze, że czasami nasze ścieżki skracają nie tam, gdzie byśmy sobie życzyli. Wyjeżdżam i po prostu chciałem się pożegnać.

Marek nie wspomniał jej o ryzyku, jakie niósł ten wyjazd. Wstydził się przyznać do strachu przed samym sobą, a co dopiero przed matką, która nie miała zamiaru być Rzymianką. Kobieta podniosła puchar do ust i skosztowała wina z własnych winnic, lekko tylko rozcieńczonego wodą. Matka lubiła mocne wino, jak prawdziwa etruska kobieta, równa mężczyźnie.

– Wyjeżdżam do Kartaginy jako poseł – rzekł w końcu. – W zeszłym tygodniu otrzymałem od senatu wszelkie uprawnienia wynikające z mego urzędu. Mam nadzieję, że zdobędę zaufanie moich przełożonych.

– W to akurat nie wątpię. Senat zawsze dotrzymuje słowa i zawsze zapewnia szczęście wszystkim, którzy znajdują się pod jego opieką.

– Doprawdy, matko, czasami nie rozumiem twojej ironii – powiedział Marek.

– Nie udawaj przede mną Rzymianina. To ja Tanakwil, córka Larsa Marthany, jestem twoją matką, a nazwisko, które nosisz, pochodzi od Serwiuszów, którzy byli z królewskiego rodu, spokrewnionego z wielkim etruskim królem Larsem Porsenną. Przypominam ci, że to właśnie Lars Porsenna zdobył Rzym.

– Ubolewam nad tym. To było czterysta lat temu. Do przeszłości nie ma powrotu.

– Zawsze staliśmy wyżej od Rzymian, a ty się przed nimi płaszczysz – odrzekła z naciskiem Tanakwil. – Pamiętaj o tym, kiedy wystąpisz z prośbą o urząd do jakiegoś senatora, który jeszcze niedawno był zwykłym plebejuszem. Nie zapominaj, że masz w sobie krew królów. Jesteś Etruskim.

– Jestem Rzymianinem! – krzyknął z wściekłością Marek. – Nie zamierzam przed żadnym senatorem czołgać się na kolanach. Jeśli tylko tak widzisz Rzymian, to bardzo się mylisz. Nie znasz ich.

Nie potrafiła go przekonać. Była zmęczona życiem i pogłębiało się to, ilekroć rozmawiała z synem, który odszedł już ze świata jej bogów. Znów popatrzyła na syna – jego brwi były zmarszczone, ściągnięte gniewem, zwiastunem rzymskiego świata, do którego matka nie miała dostępu. Marek przeżuwał jedzenie powoli, jakby od niechcenia.

– Nie smakuje ci? – zapytała, widząc, jak syn bez zapału je krewetki z sosem z oliwy, soku cytrynowego i mięty.

– Przeciwnie, twoi kucharze znają się na rzeczy. Jeszcze dzisiaj wyjeżdżam w stronę Tarentu. Statek do Kartaginy odpływa za sześć dni. Myślę, że to wszystko... matko.

Marek wstał. Wziął swój płaszcz i pancerz. Ubrał się. Znów był Rzymianinem. Tanakwil pomyślała, że straciła go już na zawsze. Ukłonił się nisko i spokojnym, niespiesznym krokiem skierował się w stronę wyjścia. Kobieta przez chwilę siedziała bez ruchu, ale zaraz zerwała się i wybiegła z komnaty. Rydwan Marka i konie jego świty oddalały się, wzbijając kurz w powietrzu. Nie widziała już syna, tylko cień rydwanu przesuwiał się między drzewami oliwnymi.

W Rzymie panował letni zaduch. „Jakież to miasto jest smrodliwe”, powiedział do siebie starszy człowiek, dostojny Rzymianin odziany w białą togę obramowaną purpurowym pasem. Mężczyzna był senatorem, głową potężnego stronnictwa konserwatywnego, które doprowadziło Republikę do świetności. Wyszedł właśnie z chłodnego wnętrza siedziby senatu. Grube kamienne mury chroniły przed upałem i wyziewami miasta. Wychodząc na zewnątrz, dostojny senator wystawił swe wrażliwe powonienie na zapachową codzienność Rzymu w całej jej krasie. Poczłł odór łajna leżącego na ulicach, nutę damasceńskich róż, rosnących w domach bogaczy na Eskwilinie, a także zapach gotowanego bobu i aromat świeżej oliwy z dzielnic greckich, położonych na lewym brzegu Tybru. Wzdrygnął się z obrzydzenia. Zatręsknił do flakonu z wodą jaśminową, którą przyrzędził dla niego znany żydowski perfumiarz. Kazał umyć tą wodą wszystkie sprzęty w domu i skropić pościel.

Zszedł po schodach i rozejrzał się. Wielu ludzi poznawało go i z szacunkiem skłaniało głowy. Inni mijali go obojętnie. Ilekroć patrzył na forum, nachodziły go refleksje natury historiozoficznej. Zadumał się nad Rzymem, nad jego świetnością oraz nad podłościami, jakie Rzymianie musieli popełniać, żeby przetrwać.

Przed szesnastoma laty zaczęła się najokropniejsza wojna, z jaką przyszło się zmierzyć Rzymowi – wojna z Hannibalem, wodzem kartagińskim. Początkowo nic nie zapowiadało dramatu. Rzymianie byli przekonani, że wygrają na morzu, tak jak wygrali pierwszą wojnę z Kartaginą. Nawet w najgorszych koszarach dostojnym senatorom, ekwitom i zwykłym

Rzymianom nie śniło się, że Hannibal może się odważyć na jawne szaleństwo, jakim było przejście Alp w zimie. A jednak ten Punijczyk dokonał tego. Senator doskonale pamiętał te chwile grozy, kiedy Hannibal zgniótł dwie armie konsularne nad rzekami Ticinus i Trebia. Tamtej wiosny zaskoczeni Rzymianie próbowali powstrzymać kartagińskie oddziały już na swojej ziemi. Potem żołnierze Kartagińczyka zabili dwadzieścia pięć tysięcy najlepszych legionistów nad Jeziorem Trazymeńskim. Rzym okrył się żałobą. Wielu zwątpiło. Ale nie on. Jako najdosłowniejszy pośród senatorów przekonywał, że trzeba zdobyć się na największy wysiłek, powołać pod broń wszystkich wolnych Rzymian, od szesnastoletnich chłopców po pięćdziesięcioletnich mężów z siwymi włosami.

Starzec zrobił krok w kierunku lektyki. Teraz było to takie zwyczajne. Ale nie szesnaście lat wcześniej. Wówczas senator bał się własnego cienia. Wówczas największa armia, jaką wystawił Rzym pod wodzą konsulów Lucjusza Emiliusza Paulusa oraz Terrencjusza Warrona, została zdziesiątkowana przez Hannibala pod Kannami. Zginęło sześćdziesiąt tysięcy legionistów, w tym konsul Paulus, dwudziestu dziewięciu trybunów i osiemdziesięciu senatorów. Nigdy wcześniej i nigdy później stary senator nie przeżył podobnej grozy i podobnego upokorzenia. Bał się wtedy własnych niewolników. Kiedy kładł się spać, chował szyćlet pod poduszkę. Postanowił popełnić samobójstwo, gdyby niewolnicy się zbuntowali, a było to całkiem prawdopodobne, gdyż senator, człowiek odznaczający się surowością – to stara rzymska cnota – traktował ich z okrucieństwem. Hannibal znajdował się wtedy pod bramami miasta ze swoimi trzydziestoma tysiącami afrykańskich, iberyjskich i galijskich zbirów.

To bezmierne upokorzenie doznane pod bramami

Wiecznego Miasta pchnęło senatora do jeszcze większej determinacji w prowadzeniu wojny. Pomógł pewnemu człowiekowi pochodzącemu z biednego rodu, Publiuszowi Korneliuszowi Scypionowi, stanąć na czele armii. Wojna trwała dalej. Rzymianie zamknęli Hannibala w południowej Italii. Wybudowali mur i skazali go na życie w nędzy. Tymczasem przyznano obywatelstwo rzymskie licznym ludom w środkowej Italii. I znów legiony zapełniły się żołnierzami. W końcu Kartagina pchnęła do Italii drugą armię, z Hiszpanii, pod wodzą Hazdrubala, brata Hannibala. Czternaście legionów zastąpiło jej drogę w Umbrii nad rzeką Metaurus. Doszło do straszliwej bitwy. Rzymianie zniszczyli tę armię i posłali Hannibalowi odciętą głowę jego brata. To był punkt zwrotny. Po dziesięciu latach Rzymianie najechali na Kartaginę i pokonali Hannibala pod Zamą, już na afrykańskiej ziemi. Zawarto pokój. Ten pokój nadal trwał i szarpał staremu senatorowi nerwy. Nienawidził Kartaginy, a Hannibala widziałby najchętniej jako niewolnika wystawionego na widok publiczny w klatce na forum.

Jednak Rzym stanął przed nowymi trudnościami. Weterani wojny z Hannibalem domagali się ziemi, a sprzymierzeńcy głośno żądali rzymskiego obywatelstwa w nagrodę za wierność, jakiej dotrzymywali Republice przez te lata, kiedy Hannibal ze swoją armią grasował po żyznej Italii. To wszystko mogło uderzyć w konserwatywne stronnictwo. Patrycjusze, stara arystokracja, wciąż mieli w rękach większość uprawnej ziemi. I nie chcieli się nią dzielić z nikim, nawet z żołnierzami, którzy dla nich walczyli.

Przed budynkiem senatu, kamiennym, majestatycznym pomnikiem rzymskiej chwały, czekała na mężczyznę lektyka. Podwinął togę, aby mu nie przeszkadzała, i rozparł się wygodnie

na poduszkach. Kiedy siadał, poczuł nieprzyjemny ból w plecach. „No tak, znowu te korzonki”, pomyślał. Starał się jednak nie tracić dobrego humoru. Zawsze zachowywał stoicką postawę wobec trudności życia. Zaczynał właśnie wielką polityczną grę, od której wyniku mógł zależeć los Republiki oraz wszystkich podbitych terytoriów. Senator był pewien, że musi zniszczyć zniechodzoną Kartaginę. Mimo ostatecznej klęski Hannibala jego plan unicestwienia tego miasta i wyeliminowania potężnego rywala w handlu na Morzu Śródziemnym spalił na panewce. Stał mu na drodze inny Rzymianin, konsul Scypion, nazywany przez uwielbiających go Rzymian „Afrykańskim”. Stary senator czuł się odepchnięty. Sam wyniósł Scypiona do godności konsula i uważał, że Scypion powinien spłacić dług wdzięczności. Cierpiała jego duma. To on przecież od lat powtarzał w senacie: *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam* – co znaczyło: „Poza tym uważam, że Kartaginę należy zniszczyć”.

Stary Marek Porcjusz Katon – w przeciwieństwie do swego rywala, Scypiona Afrykańskiego, człowieka z plebsu, patrycjusza od jednego zaledwie pokolenia – czuł się nie tylko lepszym Rzymianinem i obywatelem, ale przede wszystkim człowiekiem strzegącym starorzymskiej surowej moralności. Był rad, że Rzym po wygranej wojnie z Hannibalem stał się najważniejszym miastem w zachodniej części Morza Śródziemnego. Ale jednocześnie stara Roma stała się miastem tolerancyjnym, wielokulturowym, otwartym na różne nowinki, w którym mówiono wszystkimi językami świata i wielbiono już nie tylko rzymskich bogów. Z tym nie mógł się pogodzić. Obce kultury, na przykład egipscy bogowie z twarzą psa lub kota, napawali go obrzydzeniem. Grecy panoszyli się beczelnie. Gdyby mógł, poderżnąłby wszystkim Grekom gardła. Grek może być

niewolnikiem Rzymianina, ale sprzymierzeńcem już nie.

Uważał, że jego powinnością jest obronić Rzym przed zalewem obcych kultów i zwyczajów. W tym celu musiał dopuścić się kilku małych podłości. Dopuścił się już w życiu niejednej, ale zawsze z poczuciem, że wszystko, co robi, służy chwale Republiki. Teraz musiał sprowokować wojnę. Postawić pod ścianą znienawidzonego rywala, sprawującego obecnie konsulat, Publiusza Scypiona. Kilka dni wcześniej przeforsował uchwałę, która nakładała na konsula obowiązek wysłania do Kartaginy nowego posła, by zażądał on w imieniu senatu i ludu rzymskiego podniesienia corocznej kontrybucji wojennej. Nikt jednak nie podejrzewał, że stary Katon poczynił niezbędne kroki, które miały doprowadzić do wojny. Na posła wybrano pretora Marka Akwile, zromanizowanego Etruska, który marzył skrycie o fotelu senatora. Katon przez kilka ostatnich tygodni bardzo pracował nad tym młodym człowiekiem. Dostrzegł jego niepokahamowane ambicje i uznał, że świetnie będzie nadawał się do roli, jaką wyznaczył mu w swoim przedstawieniu.

– Pamiętaj, że możesz zginąć – powiedział do Akwili. – I na pewno będą ofiary wśród twoich ludzi.

– Jestem gotowy na wszystko. Jeśli wypełnię zadanie, czy dotrzymasz danego mi słowa?

– Katon zawsze dotrzymuje danego słowa – odrzekł dumnie senator. – Ruszaj czym prędzej do Tarentu. Tam spotkasz się z Hiperbolosem, greckim kupcem, który pracuje dla nas. On udzieli ci informacji o tym, kogo będziesz mógł się spodziewać w drodze. – A widząc wahanie na twarzy ambitnego Akwili, dodał: – Oczywiście istnieje ryzyko, że polegiesz na polu chwały, ale twoja w tym głowa, pretorze, żebyś wyszedł z tej walki zwycięsko.

Jego słowa nieco uspokoiły tego dumnego karierowicza,

potomka Etrusków. Ich również stary senator nie cierpiał. Może dlatego, że to oni założyli Rzym, a może dlatego, że stworzyli kulturę piękniejszą i wspanialszą niż rzymska. Albo też dlatego, że żyli piękniej niż on, Marek Porcjusz Katon, zbawca Republiki i obrońca rzymskiej moralności. „Jeden stołek dla figuranta to przecież nie nazbyt wielka cena”, pomyślał senator, dziwiąc się zarazem, że Etruskowie upadli tak nisko. Warto było ją zapłacić i uzyskać to, do czego parł: nową wojnę, która zmiecie Kartaginę z powierzchni ziemi.

Tymczasem niewolnicy nieśli go w lektyce z drzewa sandałowego do jego domu, wspaniałej willi na Watykanie. Nawet nie zauważył, jak zapadł w drzemkę. Miarowe kołysanie się lektyki uspokajało go. Silni czarni niewolnicy nieśli swego pana pośród ciżby Rzymian sprawnie i szybko, aby nieprzyjemne miejskie wyziewy, zapach wszędobylskiego czosnku, gotowanego bobu i przypalonej oliwy, sprawiły dostojnemu Katonowi jak najmniej przykrości.

Tymczasem Katon śnił swój ulubiony sen, że Scypion dopuścił się oszustw podatkowych i został puszczony z torbami.

*

W tym samym czasie, kiedy dostojny Marek Porcjusz Katon marzył o pognębieniu swego rywala, do Tarentu zbliżał się wóz bogatego handlarza pachnidłami. Ów handlarz przedstawiał się jako Żyd Jaakow. Spędził w Italii rok, przyjemny, choć niepozbawiony kłopotów. Handel szedł średnio. Trudno było o nowych klientów. Jaakow już kilka razy przyjeżdżał do Italii, w równych odstępach czasu. Zapewne z przyrodzonej ludziom skłonności do pomijania rzeczy oczywistych i ignorowania znaków świadczących o wadze różnych wydarzeń, nikt z Rzymian nie zauważył, że Jaakow gościł w Italii i w samym Rzymie tuż

przed uderzeniem Hannibala. Lecz kiedy pojawił się u w Rzymie swych dawnych klientów, wśród których byli i senatorzy, mówiło się, że stary pocziwy handlarz Jaakow znów pracuje na chwałę swojego ludu i swego tajemniczego Boga, który podobno nie miał żadnego wizerunku. W Rzymie interesy mu się powiodły. W domu wielkiego Katona sprzedawał cały zestaw jaśminowy, w tym wodę i olejek o takim zapachu, oraz ręcznie tkane chusty przepełnione aromatem tego wonnego krzewu. Bardzo tylko żałował, że nie mógł kupić względów jakiegoś niewolnika, który stałby się jego uszami i oczami w domu jednego z najważniejszych ludzi w Rzymie. Mimo udanych targów tym razem wracał strapiony. Wyczuwał, że coś złego wisi w powietrzu, choć nie znalazł potwierdzenia swoich obaw, poza mało znaczącą wiadomością o tym, że senat pragnie wysłać do Kartaginy posła. Kilka dni temu przyjęto w tej sprawie odpowiednią uchwałę.

Jaakow się spieszył. Zależało mu bardzo, by złapać statek do Kartaginy, zanim rzymski poseł dotrze do tego miasta. Musiał tylko znaleźć w porcie pewnych ludzi, z którymi był umówiony. Mieli na niego czekać. Rada sufetów Kartaginy dobrze opłacała swoich kuzynów z miast fenickich położonych na palestyńskim wybrzeżu, aby ci pośredniczyli w handlu wiadomościami. Na statku Jaakow miał się zaszyć i przeobrazić. Jego feniccy kuzyni powiedzieli mu przed wieloma laty, że każdy Fenicjanin, obojętnie, czy urodzony w Tyrze, w Sydonie, czy w Kartaginie, może uchodzić za Żyda. Lud to przecież powszechnie znany, czasami lubiany, czasami nie, bardzo oryginalny i tajemniczy. Rzecz polegała na tym, że Rzymianie za żadne skarby świata nie potrafili po karnacji odróżnić Żyda od Fenicjanina, choć te dwie nacje dzieliło poza tym wszystko. I dlatego Jaakow, który wcale nie był żydowskim Jaakowem, mógł takiego

odgrywać wobec Rzymian. Oczywiście istniało ryzyko, że spotkasz swych domniemanych braci Żydów z diaspory w Italii, ale w tym czasie było ich w Rzymie niewiele.

Wóz turkotał po drodze zbudowanej rękoma Rzymian. Jaakow bardzo się spieszył na statek, na który nie mógł się spóźnić.